

ELIZA

ORZESZKOWA

ZŁOTA NITKA

Eliza Orzeszkowa

Złota nitka

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Złota nitka / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Utwór ten jest raczej krótkim opowiadaniem niż nowelą w gatunkowym znaczeniu. Treść dotyczy wieloletniej, nieszczęśliwej miłości Felicji i Adama, które to uczucie przez oboje trzymane jest w głębokiej tajemnicy. Opowiadanie Orzeszkowej, utrzymane raczej w konwencji tęsknej i łzawej, przeznaczone jest głównie dla koneserów jej twórczości. Narratorka przenosząc się myślami do nieokreślonej przeszłości, przypomina sobie historię miłości mężatki Felicji Olińskiej i kawalera, przyjaciela domu, Adama Tarnickiego. Para widuje się przy okazji spotkań towarzyskich. Trudno jednak zorientować się, jak długo się znają, czy przeszkodą w tym związku było małżeństwo Felicji, dlaczego nie mogą być razem. Akcja skupia się na przedstawieniu tęsknoty miłosnej niż na wyjaśnieniu przyczyn tegoż nieszczęścia.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Eliza Orzeszkowa

Złota nitka

Czy taki dzień, jakim był dzisiejszy, nazwać można pięknym czy brzydkim? sama nie wiem. Zależy to zapewne od upodobania i usposobienia. Jedni lubią słońce upalne i błękity, usiane iskrami, inni, zmęczeni może nieco – któż oprócz nich powiedzieć może czém? – z rozkoszą topią oczy w chmurném sklepieniu, w mgle, w zmroku.

Dziś po południu wyszłam na przechadzkę, za dwór, za drogę, którą jeżdżą i chodzą ludzie, w pole daleko. Jeszcze to niby lato, ale zboża już żęte, ziemię okrywa kolczata ścierni, pośród której, na miedzach, sterczą tu i ówdzie kąkole, dziewanny i polne grochy. Dzikie grusze, stróżujące nad pustymi zagonami, jeszcze zielone, ale od skwarów i kurzawy przywiedłe i ciemne, brzozy zaś i olchy, dokoła ogrodu dworskiego i przy drodze rosące, połyskują z dala, niby rzeźbami z brązu, żółkłemi gałęzmi; pracy ludzkiej, ruchu i gwaru, które jęj towarzyszą, ani śladu. Wieś nawet, długim rzędem chat na tle półkolistego lasu szarzejąca, nie daje znaków życia. Zkądciś tylko, z przeciwnej strony drogi, płyną powietrzem melancholijne wołania, którymi oracze napędzają leniwe swe woły; od dworu dochodzi basowy turkot młocarni, podobny zdała do podziemnego, nieustającego grzmotu; pod czarnym lasem wiją się sine wstęgi dymów, oznaczające miejsca pastwisk, które téż od chwili do chwili ozywają się przenikliwym, kilka nut żałośnych do nieskończoności powtarzającym, śpiewem fujarek. Nad tém wszystkiém niebo, od skłonu do skłonu okryte płachtą białych obłoków, gdzie nigdzie tylko wzdymającą się w ciemne, na różny sposób wyrzeźbione chmury, a pośrodku nieba, z za białej płachty, w miejscu tym niby muślin rozrzedzonej, tarcza słoneczna omglona, bez promieni, do okrągłego, blade-złotego opłatka podobna. Mylę się. Nie była ona całkiem bez promieni; bo gdy, ścigając okiem jaskółki, które długim, czarnym sznurem ciągnęły ku zachodowi, spojrzałam na to blade i smutne słońce, zobaczyłam promień jego jeden jedyny, złotą niby nitkę, która świeciła i urywała się wysoko.

Kto mi wskaże te napowietrzne drogi, którymi przylatują do nas wspomnienia? Kto mi powie, dlaczego pogoda dzisiejsza, taka smutna i taka cicha, przyniosła przed pamięć moję jedną znaną mi kiedyś kobietę i jeden moment z jęj życia? Było to przypomnienie tak nagłe i wyraźne, że w chwili właśnie, gdy patrzałam na ów promień słoneczny, bardzo wysoko świecący, pomiędzy nim a oczyma memi przesunęła się, jak żywa, i nawet uśmiechnęła się do mnie, piękna, lecz bardziej jeszcze niż piękna, zajmująca twarz Felicji Olińskiej.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją wtedy, gdy, ze wsi przybywszy do Ongrodu, odwiedziłam dom Józefa Olińskiego. Odwiedziłam go z przyczyny interesów pieniężnych, musiałam przeto coś o nim wiedzieć. Wiedziłam, że Józef Oliński był ex-właścicielem ziemskim, który, sprzedawszy majątek swój, osiadł na miejskim bruku częścią z potrzeby, częścią z dobrej woli; że był on człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości; że dość zamożnym, lecz wcale niebogatym będąc, utrzymywał w domu swym wiele osób, do bliższej i dalszej rodziny jego należących; że nakoniec żonatym był po raz drugi i z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci. Takimi wiadomościami zaopatrzona, weszłam do saloniku, dość obszernego i napełnionego osobami różnej płci i różnego wieku.

Na spotkanie moje, od karcianego stolika, z nad którego powstał, postąpił gospodarz domu, człowiek około pięćdziesięcioletni, z leniwą trochę i senną, ale sympatyczną powierzchownością. Wysoki i barczysty, musiał on mieć za młodu postawę piękną, którą nadweryżała teraz znaczna otyłość. Jasno płowe i siwiejące włosy jego w szczególny sposób odbijały od czerstwej, rumianej twarzy, pośród której świeciły blade błękitne, pełne dobroci oczy. Ta-to właśnie dobroć, widocznie uwydatniająca się nie tylko w spójrzeniu, ale w wyrazie ust i uśmiechu jego, czyniła go sympatycznym.

Powitał mię, nie jako osobę dla interesu przybywającą, ale jako miłego gościa, i od razu, niezgrabnie trochę, lecz bardzo pocziwie, wprowadził mię w koło swęj rodziny. Odbyło się to w ten sposób, że naprzód zupełnie niespodzianie usłyszałam wymienione własne swoje nazwisko, a potem przez pięć minut brzmiały mi w uszach imiona i tytuły przedstawianych mi osób.

– Matka moja, Franciszka Olińska; ciotka moja, Anna Liniewska; wuj mój, Alojzy Choimski; siostra moja, Michalina Olińska; córka moja, Emilia; syn mój Władysław; synek mój, Mieczysław; goście nasi i przyjaciele: pani Zuzanna Skwierska, pan Ludwik Okimski.

Skończywszy, zapytał:

– A gdzież Felcia?

Zapytanie to dało początek następnącej, krótkiej, lecz żwawej rozmowie.

– Toż przecie do miasta poszła.

– Poco? czego?

– Toż przecie po ciastka.

– Po jakie ciastka?

– Ależ, mój Józiu, do kawy przecie...

– To czemuż kto inny nie poszedł?

– Ależ, mój papo, przecie nikt tak papie nie dogodzi...

– To prawda. Ale zaraz powróci?

– Naturalnie zaraz; bo i my w „bałamuta” grać nie możemy.

– A dlaczegoż nie możecie?

– Bo klucz od komody, w której karty, u niej.

– Przepraszam, bardzo panią przepraszam – zwrócił się do mnie pan Oliński – ale chciałem przedstawić pani jeszcze i żonę moję! Gromadka nas jest, jak pani widzi, spora, ale jakoś – dzionek po dzionku przechodzi i... dobrze! przyznam się nawet pani dobrodziejce... choć to może i wstyd trochę, że od czasu, jak porzuciliśmy wiejskie kłopoty i nudy, a osiedliśmy sobie w miasteczku, odżyliśmy wszyscy. Zawsze tu jakoś to ten, to ów odwiedzi, pogawędzi, i... w preferansika...

– Kościół blisko – przerwała matka.

– Doktor i apteka pod ręką – dorzuciła ciotka.

– Ga... ga... gazety co... co... codzień – wypowiedział mocno zająkliwy wuj.

– Żeby tylko nie gimnazyum, i ja był-bym wielkim amatorem miasta – zaśmiał się ośmnastoletni chłopak w szkolnym mundurze.

– O, miasto! Wstydz się, Władziu, taką dziurę miastem nazywać! – sarknęła córka Emilia, dwudziestoletnia panna, siedząca na szesławgu w postawie trochę niedbałej, w lokach, wstążkach i pantofelkach, z których wyglądały różowe pończoszki.

– Przepraszam – powtórzył znowu uprzejmie gospodarz – pani dobrodziejka życzy sobie podobno pomówić ze mną o interesie? proszę, bardzo proszę...

Poprowadził mię do kanapki, tak od najbardziej zaludnionych miejsc salonu oddalonych, że poufna nawet rozmowa spokojnie tam prowadzoną być mogła.

Interes zresztą ani tajemniczym był, ani bardzo ważnym. Rozmawiając o nim, przypatrywałam się osobom, w salonie zgromadzonym. Były to postacie bardzo rozmaite, lecz bardzo zwyczajne.

Staruszka matka była wcale miłą staruszką. Białe garniowanie czépka jęj ładną tworzyło ramę dla pomarszczonęj lecz okrągłej twarzy, której rysy, pospolite, lecz żadną szpetotą nierażące, uderzająco powtarzały się w twarzy jęj syna. Nie wydawała się wcale schorowaną, ani niedołączną, tylko trochę niezadowoloną. Siedziała właśnie przy otwartym do gry stoliku, od którego powstał był pan Józef, a przy którym siedzieli też przyjaciele domu. Niecierpliwiła się widocznie przerwą, zasła w ulubionęj zabawie. Przymtem jednak rozmawiała ciągle z siedzącymi przy niej przyjaciółkami, którym już nie przypatrywałam się, bo znałam je dobrze. Słyszałam tylko, że pani Skwierska, czterdziestoletnia wdowa po urzędniku, babina nieposzlakowanęj cnoty i wielkięj wymowy, z

gestykulacją i mimiką, której-by jój niejeden z mówców wielkiej szkoły pozazdrościł, powtarzała co do słowa prawie przesłonięte kazanie księdza Hajdeckiego w farze.

Ludwik Okimski za to, tłuściutki, malutki i wygolony obywatel miejski, na całe miasto słynny z nieocenionego dowcipu i humoru swego, posługiwał się wakującymi kartami od preferansa dla dokonywania z ich pomocą różnych sztuk, czarodziejstwem prawie graniczących. Karty, w obu rękach trzymane, za plecy swe chowając, albo też je ze zręcznością niesłychaną na stole rozkładając i mieszając, zwracał się przedewszystkiem do panny Michaliny Olińskiej, której pyszne i pysnie uczesane złociste włosy przyozdabiały twarz trzydziestokilkuletnią, ładną niegdyś, teraz mocno przywidłą i wyrazem doznanych zawodów nacechowaną. Zawody te nie przeszkadzały przecież błękitnawym oczom jój z niesłychanym zajęciem topić się w pulchną, wygoloną a wesołą twarz miejskiego obywatela.

Dwaj gimnazyści za to, z których jeden był dzieckiem jeszcze, drugi dorosłym prawie młodzieńcem, nie doświadczali na widok sztuk karłowych żadnych uczuć innych, prócz najwyższej żądzy zbadania i zdobycia wszystkich ich tajemnic. Z ust ich sypał się grad zapytań i prośb tak ogłuszających, że aż Aloizy Choimski, chudy i łysy ex-profesor, w starym profesorskim mundurze, ze złożonymi guzami, u okna siedzący, a w czytaniu gazety zatopiony, sykał z gniewu i gazetą swą z przeraźliwym szelestem co chwila ku wrzaskliwej grupie powiewał.

Szelesty te drażniły snadź nerwy niemłodej, bladej i widocznie bardzo dobrej Anny Liniewskiej, ciotki, która, w wyszywaniu włóczkami siatkowej serwety pogrążona, podnosiła od chwili do chwili głowę i z kolei sykała na pana Aloizego. Ile razy zaś sykała tyle razy pan Aloizy, z rozczulonym prawie wyrazem twarzy, pochylał się ku niej i na przeprosiny rękę jój, zaopatrzoną w długą igłę całował; co też ją, aż do nowego szelestu gazety, najzupełniej rozbijało. Głębszą i trwalszą snadź troską jój było dobieranie kolorów włóczek, którymi serwetę swą wyszywała; bo nagle podniosła głowę, w trochę jeszcze zalotny czepeczek ustrojona i, z rozpaczliwym załamaniem rąk, zawołała:

– Moja pani Zuzanno, proszę mi poradzić! już ja doprawdy nie wiem, jaką tu różę zrobić: różową czy żółtą?

W mgnięciu oka, po zapytaniu tém, całe towarzystwo, nie wyłączając staruszki a z wyjątkiem tylko ex-profesora, podzieliło się na obozy różowej i żółtej róży. Okimski, gimnazyści, nawet milcząca dotąd i melancholijnie na różowe pończoszki swe spoglądająca piękna panna Emilia, udzielali rad swych i wydawali zdania. Teraz nawet panna Emilia mówiła najgłośniej i z największym zapalem, nie dlatego zapewne, aby była żarliwą miłośnicą robót ręcznych, ale, że, gdy szło o rzeczy gustu, zdaniu jój należało się bezwzględne pierwszeństwo. Dobry gust był specjalnością jój; świadczyły o tém malownicze draperye sukni i różowe pończoszki. W gwarze tym, przez zagadnienie pani Anny wywołanym, zadzwonił jękliwy, do tonu bolesnej skargi podniesiony, głos staruszki:

– Dlaczego kawy nie dają?

– Felci niéma – odpowiedziały chórem wszystkie prawie głosy.

– Ależ dlaczego ona tak długo nie przychodzi?

– Może poszła na przechadzkę?

– W porę, bardzo w porę!

– Może zobaczyła jaki piękny widok natury! ona tak kocha naturę!

– I zapomniała o nas i o naszej kawie.

– Pani Felicja dziś źle wygląda. Może cierpiąca...

– A któż jój winien? czytuje po nocach, to potem źle wygląda. Ja zawsze mówię, że dla kobiety wszystkie te mądrości...

– Do... do... don... ka... ka... karlos bi... bije się! – zrywając się z krzesła, zawołał nagle pan Aloizy. – Zno... znowu bi... b... b...

W tém otworzyły się drzwi i wszedł do salonu znany mi trochę, młody urzędnik z gubernatorskiego czy jakiegoś innego biura. Był to chłopak przystojny, dobrze ułożony, z wykształceniem umysłowym małym, ale wielkimi potrzebami serca, bo cechą przeważnie go

charakteryzującą było nieustanne kochanie się w jakiejś pani, czy pannie. Zbyt ubogi jeszcze, aby mógł ożenić się, składał ofiary na ołtarzach wszystkich piękności Ongrodu. Przymioty oprócz pań i panien kochał on jeszcze poezją i odznaczał się zarówno wielką pamięcią, jak wcale niezwykłym darem do deklamacyi, a w rozmowie – kwiecistością stylu. Wszystkie te przymioty jednały mu pośród pań wysoki stopień szacunku i sympatii. Objawiło się to i teraz, gdy wejście Teofila Siekierskiego sprawiło w salonie Olińskich wrażenie wielkie. Najżywiej uległa mu panna Emilia, co zresztą było zupełnie słusznym, gdyż spojrzenie czarnych oczu Teofila naprzód ku niej strzeliło, ale i panna Michalina wydawała się także zelektryzowaną nieco i z żywością, która odmłodziła zwiędłą jej twarz, zawołała, że teraz, kiedy pan Teofil przyszedł, trzeba zaraz zacząć grać w karty w **bałamuta**, bo już z góry wiadomo, kto w czepku siedzieć będzie. Pokazało się jednak, że bez Felci ani w karty grać, ani kawy pić niepodobna. Dom cały, ze wszystkimi swymi wygodami i przyjemnościami, w nieobecności jej, był jakby sparaliżowany. Znowu więc rozległy się wołania i wyrzekania.

– Gdzież jest Felcia? Dlaczego tak długo w mieście bawi?

Skończyłam rozmowę moją o interesie z gospodarzem domu, a gdybym nawet nie skończyła jej była, udała-bym, że nic już więcej do powiedzenia nie mam, tak bardzo wyraźnie poobiednia drzemka zasnuwała mgłą łagodne jego oczy, taki wyraz ciężkiej z nią walki okrywał dobrą i pocziwą twarz jego. Spać mu się chciało okropnie, a jednak uprzejmym być nie przestał. Zapraszał mię na kawę, które-to zaproszenie powtórzyły też matka, ciotka, siostra i córka jego; a gdy stanowczo odchodziłam, wszyscy razem wymogli na mnie przyrzeczenie, że przynajmniej innego dnia, jak najprędzej, dom ich na dłużej odwiedzę. Potem pan Józef odprowadził mię aż do drzwi przedpokoju, a gdy starszy syn jego z grzecznym pośpiechem podawał mi okrycie, on jeszcze, pomimo senności, która mocno utrudniała mu mowę, udzielał mi rad i upewnień, tyjących się interesu mego, a świadczących zarówno o prawości charakteru, jak o dobroci jego serca.

Mieszkanie Olińskich znajdowało się na drugim piętrze jednej z kamienic miasta. Zstępując ze schodów, zobaczyłam poniżej siebie u jednego z zakrętów ich stojącą kobietę, której postawa uderzyła mię i nawet trochę zadziwiła. Była to kobieta wysmukła, bardzo kształtna, w ciemnym okryciu i czarnym kapeluszu, z pod którego widać było gruby warkocz, kasztanowatej barwy, z ognistym połyskiem. Stała nieruchoma zupełnie, z łokciem opartym o balustradę schodów, z kibicią na przód nieco podaną i twarzą na dłoni wspartą. Postawa ta była wymowną. Wyrażała ona znużenie i zadumę. Stała tak i w ten sposób wspierała się na ręce, że z twarzy jej widziałam tylko część białego czoła i oczy duże, ciemnoszafirowe, powieką na-pół spuszczoną przysłonięte, a smutnie, okropnie smutnie w dół zapatrzone. Nie słyszała zrazu zbliżających się ku niej kroków moich. Ja też przez chwilę przypatrywałam się jej ciekawie. Domyślałam się, kim była, bo w drugiej ręce, bezwładnie spuszczonej, trzymała spory, zamknięty koszyk, zawierający pewnie ciastka do kawy. Oto dlaczego nie wracała tak długo i tak nie w porę bawiła za domem. Ale co pochwyciło ją tu i zatrzymało? Zmęczenie, o chwilę spoczynku wołające? czy marzenie natrętne i nieodegnałne? czy silniejszy nad siły jej moment żalości lub walki? Wszystko to razem malowało się w postawie i wyrazie jej oczu. Usłyszała nakoniec kroki moje, porwała się, jak ze snu zbudzona, i wbiegła na schody tak szybko, że przed oczyma memi zaledwie mignął biały, delikatny, kameowy profil jej twarzy.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.